

Zmiany prawa można porównać do operacji chirurgicznej. Nieumiejętne obejście się z przepisami może doprowadzić do poważnych powikłań. Z tej przyczyny wszyscy uczestniczący w procesie legislacyjnym powinni się wykazywać odpowiednim poziomem kompetencji, jak również umiejętności przewidywania konsekwencji podejmowanych działań. Bez tego pojawia się sytuacja odpowiadająca zamianie sali operacyjnej w rzeźnię.

Niestety w ostatnim czasie coraz częściej przedstawiciele administracji rządowej uznają, że przy zmianach prawnych wystarczająca jest finezja odpowiadająca rąbaniu drewna przez drwala – o ile tylko zmianom przyświecają dostatecznie szczytne cele. Warto przypomnieć, że nieprzypadkowo przysłowie mówi, iż dobrymi chęciami piekło wybrukowano. Chęci bez kompetencji prowadzą zwykle do poważnych problemów. Ostatnie tygodnie przyniosły kilka bardzo dobrych przykładów.

Na ostatniej prostej prac nad projektem rozporządzenia w sprawie szpitalnego oddziału ratunkowego Minister Zdrowia wpisał dodatkowy warunek stawiany kierownikowi podmiotu prowadzącego szpital, w którym działa szpitalny oddział ratunkowy. Zgodnie z wydanym 27 czerwca rozporządzeniem kierownik takiego podmiotu ma obowiązek zapewnić w tym szpitalu kontynuację leczenia osób w stanie nagłego zagrożenia zdrowotnego, skierowanych na leczenie z oddziału. Z jednej strony nie sposób zaprzeczyć, że cele takiego warunku są szczytne – w końcu chodzi o to, aby minimalizować przypadki przewożenia osób znajdujących się w złym stanie zdrowia. Nikt nie miałby powodów, aby negować rozwiązania umożliwiające osiągnięcie tego celu wprowadzone w racjonalny sposób z poszanowaniem zasady proporcjonalności. Jak jednak wyglądała sytuacja w tym przypadku?

Projekt rozporządzenia był opiniowany przez Komisję Wspólną Rządu i Samorządu Terytorialnego w dniu 26 czerwca, dzień przed wydaniem rozporządzenia. Komisja Wspólna nie została powiadomiona o dokonanej zmianie – co oznacza, że albo zmiana została wprowadzona w nocy z 26 na 27 czerwca, albo też celowo zatajono fakt wcześniej dokonanej zmiany. Niezależnie od sytuacji źle to świadczy o resorcie zdrowia.

Wymóg sformalizowanej procedury konsultacji i uzgodnień nie jest przypadkiem. Ma na celu zapewnić niezbędną refleksję nad proponowanymi zmianami, refleksję dokonywaną chociażby przez praktyków, którzy później będą musieli przepis stosować. Mogą oni przestrzec przed nieżyciowością proponowanych rozwiązań. Ministerstwo postanowiło jednak ten element procedury tak czy inaczej – zignorować.

W konsekwencji powstał przepis, który literalnie rzecz biorąc nakazuje zapewnić każdemu pacjentowi – niezależnie od tego z jaką dolegliwością trafił na SOR – w każdej chwili miejsce na właściwym oddziale. Jest to wymóg praktycznie niemożliwy do spełnienia w większości szpitali. Literalnie rzecz biorąc to pewnie poradziłyby sobie z nim wyłącznie szpitale kliniczne i największe szpitale wojewódzkie. Nie jest to stwierdzenie gołosłowne, skoro bezpośrednio po wejściu w życie przywołanego rozporządzenia dyrektor szpitala wojewódzkiego w jednym z mniejszych województw zaczął rozważać rezygnację z prowadzenia SORu w zarządzanej przez siebie placówce. Po prostu potraktował na serio wymagania Ministerstwa Zdrowia.

Jak się obecnie tłumaczy ministerstwo opisanemu skutkowi miało przeciwdziałać zastrzeżenie, że nałożony obowiązek dotyczy tylko pacjentów skierowanych z oddziału, po przeprowadzeniu na etapie kierowania oceny, czy pacjenta w szpitalu da się przyjąć. Tyle tylko, że zastrzeżenie zostało sformułowane w sposób tak lakoniczny, że treści zakładanej przez resort odczytać z niego w żaden sposób się nie da. W skrajnie niekorzystnym przypadku może się okazać, że faktycznie problem

przewożenia pacjentów między SOR a właściwymi oddziałami zostanie wyeliminowany. Po prostu znacząca liczba SORów zostanie zamknięta...

Problemy nie są domeną tylko resortu zdrowia. Minister Infrastruktury pospołu z Ministrem Cyfryzacji w ramach pakietu deregulacyjnego zaproponował likwidację nalepki kontrolnej przyklejanej w prawym dolnym rogu przedniej szyby pojazdu. Przedstawiciele Ministerstwa twierdzą, że zmiana taka przyniesie znaczące ułatwienie dla obywateli. I ograniczenie wydatków przez nich ponoszonych. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że cel jest ze wszech miar słuszny. Przekonanie to pęka jednak jak bańka mydlana po chwili analizy.

O jakim ułatwieniu dla obywatela możemy mówić? Naklejka kontrolna jest wydawana od ręki, przy pierwszej wizycie obywatela w organie rejestrującym. To nie jest dowód rejestracyjny personalizowany w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, a zatem wymagający ponownej wizyty celem jego odebrania. Skoro obowiązek przerejestrowania pojazdu ma pozostać – a pozostaje nawet w przypadku możliwości pozostawienia dotychczasowego numeru rejestracyjnego – to zniesienie naklejki kontrolnej nie zwolni nabywcę samochodu od wizyty w organie rejestrującym. Jedyne ułatwienie to zatem zniesienie konieczności przyklejenia naklejki na szybę. Niewątpliwie istotne – zwłaszcza dla tych, którzy kilka razy w roku na szybie przyklejają winiety autostradowe krajów ościennych.

Z kolei o jakich oszczędnościach możemy mówić? O kwocie 20 zł. Przy obecnych cenach paliwa jest to równowartość niecałych 4 litrów benzyny bezołowiowej.

Korzyści zatem są znikome. Czy są jakieś zagrożenia? Oczywiście tak. I jeśli resort odrobiłby pracę domową i sięgnął do pamięci instytucjonalnej to dowiedziałby się, że naklejka kontrolna została wprowadzona jako „trzecia tablica” – ta, która jest w sposób trwały związana z pojazdem. W dzisiejszych czasach montażu tablic rejestracyjnych za pomocą zatrzaskowych ramek przejściowe „wypożyczenie” tablicy z zaparkowanego pojazdu, aby np. zatankować bez płacenia za paliwo nie stanowi żadnej trudności. Naklejka kontrolna taką praktykę znacząco utrudniała – chociażby z tej przyczyny, że na kamerach monitoringu wizyjnego stacji benzynowej zwykle da się odczytać numer z naklejki i porównać z numerami na tablicach rejestracyjnych. Propozycja resortu sprowadza się zatem do zmniejszenia bezpieczeństwa – i to bezpieczeństwa właścicieli pojazdów – kosztem oszczędzenia przez nich 20 zł i 30 sekund na przyklejenie naklejki.

Tak właśnie kolejne dobre intencje stają się elementami piekielnego bruku.